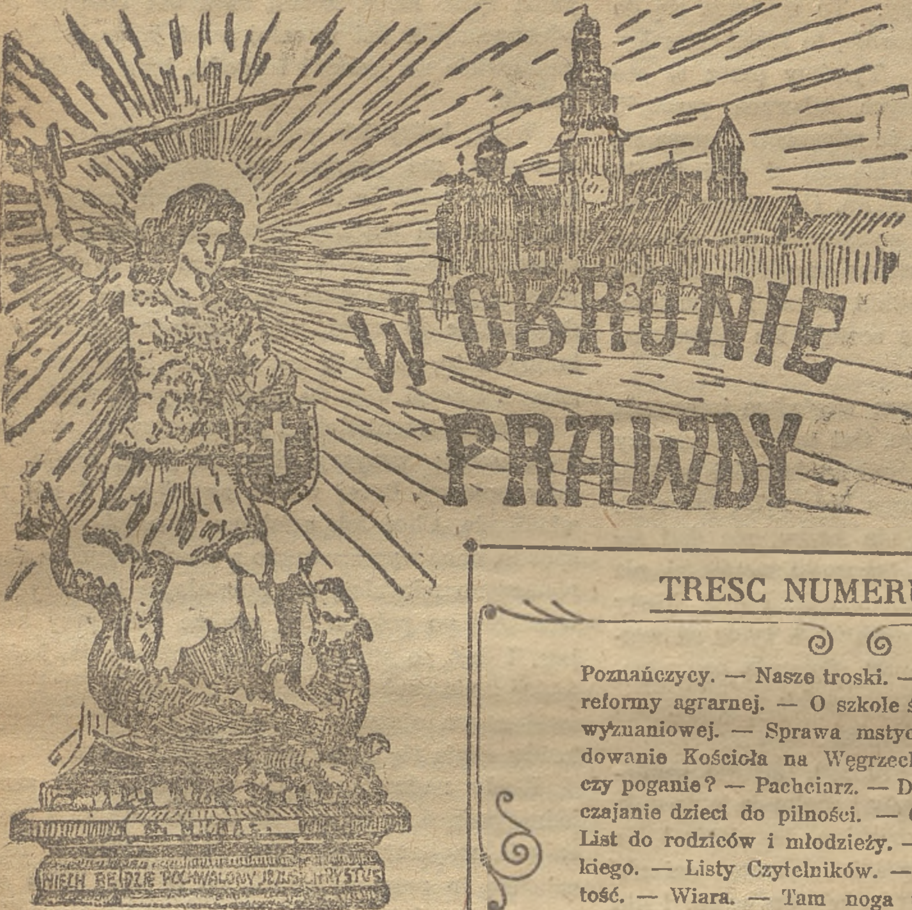
Nr. 7. Kraków, Lipiec 1919. Rok XIII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:

Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 4 K. półrocznie 2 K.

Cena egzemplarza wynosi 40 halerzy.

TRESC NUMERU VII-go:

Poznańczycy. — Nasze troski. — Biskupi w sprawie reformy agrarnej. — O szkole świeckiej i o szkole wyznaniowej. — Sprawa mstyczowska — Prześladowanie Kościoła na Węgrzech. — Chrześcijanie czy poganie? — Pachciarz. — Dzwony. — Przyzwyczajanie dzieci do pilności. — Chłop-obywatel. — List do rodziców i młodzieży. — List z frontu ruskiego. — Listy Czytelników. — Książka i jej wartość. — Wiara. — Tam noga twoja nie powinna nigdy stanąć. — Św. Magdalena. —

Poznańczycy.

Nadeszły przecież jaśniejsze dla nas chwile. Po stu przeszło latach niewoli padły słupy graniczne, które nas dotąd rozdzielały, znikły rządy zaborców, dzięki którym, my dzieci jednej matki-ziemi stawaliśmy się dla siebie coraz bardziej obcymi. Nie znaliśmy się między sobą i nie znamy się dotąd, bo i jakże mieliśmy się poznać, kiedy nam broniono dostępu do siebie, a choć niekiedy uzyskało się przepustkę na przejazd przez granicę do Królestwa lub Poznańskiego, zawsze trzeba się było mieć na baczności, by jaki policyant pruski lub rosyjski nie ujrzał na nas coś podejrzanego lub „niebezpiecznego“ i nie zaprowadził tam, gdzie człowiekowi porządnemu niebardzo przyjemnie przebywać. Ile to trzeba było zachodów, by się dostać choćby do takiej Częstochowy, a choć tam ludziska na modlitwę jechali i papiery mieli w porządku, przecież nieraz dość się nadrżeli ze strachu przed podejrzanymi kozuniami moskiewskimi.

Dziś, dzięki Bogu, wszystko to już minęło, na własnej ziemi nie potrzebujemy lękać się cudzych urzędników. Choć nie wszystko jeszcze w porządku, choć granice jeszcze nieustalone, a na

wschodzie i zachodzie jeszcze fronty wojenne, przecież już można swobodnie przejechać się po polskiej ziemicy, można bez strachu i wielkich kłopotów zbliżyć się do naszych braci, od których tyle lat oddzieleni byliśmy. To zbliżenie się do siebie i wzajemne się poznanie, to rzecz niezmiernego dla nas znaczenia. Tyleśmy przez te oto z górą lat w poszczególnych zaborach przeżyli, tyle prześladowań znieśli, że mimowoli nasuwa się nam pytanie, jak też wyglądają ci nasi bracia z Poznania, jak ci z Królestwa. Czytaliśmy wprawdzie wiele o tem, co wycierpieli pod żelazną pięścią pruską, co pod knutem rosyjskim, ale dziś chcielibyśmy wiedzieć, jakimi wyszli z tych prześladowań, w jakim stanie została ich odzyskana wolność.

Może najbardziej pod tym względem interesują nas rodacy z Poznańskiego. Oni tam, kto wie, czy nie najwięcej wycierpieli, oni najdzielniej opierali się ciemięzcom, a choć sroga była ręka, która ich gniotła, nie ugięli przed nią karku, nie dali się złamać, owszem wyszli z tej walki mocniejsi, niż byli wtedy, kiedy ją rozpoczynali. I dziś, kiedy w tych ciężkich dla nas początkach życia na wolności rozmaicie u nas bywa, dolatują nas nieustannie wieści, że u nich wszystko w porządku, że wszystko idzie jak najlepiej.

Wynieśli się od nich Prusacy, oni bez zamieszania ujęli w swe ręce rządy i spełniają je do dnia dzisiejszego z wielkim pożytkiem dla siebie i dla całego narodu. Zaatakowali ich Niemcy, ani nie ulękli się, ale natychmiast stanęli do walki. I nie tylko potrafili siebie zwycięsko bronić, ale jeszcze spieszyli z pomocą na inne fronty, które już pod przemocą nieprzyjacielską chwiać się zaczynały. Zabrakło nam chleba, straszny głód zaglądał w oczy. Poznańczycy pierwsi pospieszyli z pomocą. Od nich szły i do dziś dnia idą do Królestwa i Galicyi pociągi naładowane ziemniakami i innymi artykułami spożywczymi, bez których, Pan Bóg wie, coby było z nami. Nie tylko sami sobie dają radę, ale i innym dzielnicom pomagają w biedzie i niedostatku.

To też nic dziwnego, że oczy wszystkich zwracają się na nich z podziwem, że tyle w nich siły i hartu, że tyle miłości i serca dla współbraci. — I mimowoli budzi się w sercach naszych zazdrość, że u nas inaczej, że nie stanęliśmy tak wysoko, jak oni; chcielibyśmy poznać ich lepiej, przypatrzeć się z bliska ich życiu i stosunkom.

W ramach jednego artykułu niepodobna naraz wszystkiego pomieścić, zwrócę jednak uwagę na jedną tylko rzecz, której brak tak boleśnie dziś odczuwamy, a oni w całej pełni ją posiadają — mianowicie na jedność i zgodę, jaka wśród nich panuje.

Wróg, który ich gniótł i chciał zniszczyć doszczętnie, nie przypuszczał nawet, że właśnie przez ten ucisk da im sposobność do nabycia mocy, która ich potężnymi uczyni. Poznali bowiem naraz, że tylko wtedy nie strawi ich zachłanność pruska, jeśli wszystkie stany i zawody staną jednozgodnie do walki, jeśli wspólnemi siłami będą budować to, co wróg ich chce im koniecznie zniszczyć. Stanęli więc do pracy wszyscy, włościanin i robotnik, rzemieślnik i przemysłowiec, świeccy i duchowni; wszyscy ożywieni jedną myślą, że przy pomocy Bożej muszą zwyciężyć. I nie zawiedli się. Choć ich uciskano w najokropniejszy sposób, choć wywłaszczano z ziemi praojców, choć niemczono młodzież, nie pozwalając jej uczyć się w szkole po polsku, oni zawsze stali przy swojem. I dziś po stu latach germanizowania, każdy z nich umie czytać i pisać po polsku, każdy kocha swój zagon ojczysty i gorliwie na nim pracuje, każdy czuje się Polakiem z krwi i kości.

Kiedy nadeszła chwila wolności, z tą samą jednozgodnością zabrali się do budowania i umacniania znękanej ojczyzny. Może najlepiej okazało się to przy wyborach do Sejmu, które się tam odbyły dnia 1 czerwca b. r. Jako kandydatów wyznaczali ludzi, których uważali za najodpowiedniejszych na przedstawicieli narodu i na nich postanowili jednomyślnie głosować. Nie było nagonek przedwyborczych, nie rozbijano wieców, nie było obietnic podziała gruntów, nie było kłamstw i oszczerstw jednych przeciw drugim — wszyscy spełnili swój święty obowiązek tak, jak im dyktowało sumienie i dobro Ojczyzny. Kiedy socyaliści z Galicyi wysłali do nich 18 maja swoich przedstawicieli ekaministra Moraczewskiego i Żuławskiego, by tę jedność i zgodę rozbili, by wprowadzili między nich rozłam i partyjność, dali im taką odprawę, że ją nieprędko zapomną. Nie pozwolili im nawet przedstawić tych planów i obietnic, na które u nas tylu schwycili, ale ich napiętnowali jako zdrajców, którzy z Niemcami i Ży-

ostwem przeciw własnym braciom wchodzą w porozumienie, jako burzyciele zgody i porządku. Przy wyborach nie wyszedł ani jeden socyalista, tylko ludzie zaufania godni; którzy powierzonej im sprawy nigdy nie zdradzą.

Cześć im za to i dałby Bóg, by ta jedność i między nami jak najprędzej zapanowała!

J. S.

Nasze troski.

Trudne i ciężkie jest obecne położenie naszej kochanej Ojczyzny. Ciężkie jest jej położenie wewnętrzne, swary pomiędzy stronnictwami, drożyzna i bieda, trudniejsze jednak i cięższe jest jej położenie zewnętrzne. Od wschodu i zachodu czyhają na nią nieprzyjaciele, aby jej zadać śmiertelne pchnięcie, jej, która dopiero zbudziła się do życia. I dziś z niepokojem i troską patrzymy na wschód i na zachód.

Naprzód kierują się nasze oczy ku zachodowi dalekiemu — do Paryża, gdzie obraduje Rada Czterech. Niemcy otrzymali warunki pokojowe i warunki te musieliprzyjąć. Warunki te niedługo podpiszą może w chwili, gdy „Polski Siew“ dojdzie do rąk czytelników, będą już podpisane. Gdyby gad niemiecki był uczciwy, mielibyśmy od zachodu sprawę załatwioną i na naszym bliskim zachodzie, na naszej granicy z Niemcami mielibyśmy pokój. Tymczasem gad niemiecki ma jeszcze resztki zatrutego żądła w pysku i dokładać będzie wszelkich starań, aby ten pokój, ten tryumf sprawiedliwości nad zbrodnią, nam zakłócić i zatruć. Dlatego oczy nasze z troską wielką zwracają się na nasze pogranicze zachodnie.

Z niemniejszą troską patrzymy na nasze kresy ku wschodowi. Z powodu karygodnego zaniedbania i lekkomyślności rządu i władz naczelnych wojskowych, dzicz ukraińska wdarła się na nowo w głąb kraju, zajęła wiele miejscowości, niszcząc, paląc, mordując i grabiąc bez miłosierdzia. Wina tych, co ogłocili front rusko-polski jest o pomstę wołająca. Z winy tej obficie polski naród na kresach spłynął krwią. Odnieść wielkie zwycięstwo i lekkomyślnie pozbawić się owoców zwycięstwa, to coś tak oburzającego, że Sejm nie powinien tego puścić płazem. Że się to stało, że tak poszły sprawy, że dzieci nasze krwawią się po wschodzie, bolejemy i oczy z troską zwracamy tam — poza Lwów. Jak się to wreszcie zakończy?

Wierzymy jednak, że Bóg kieruje wszystkiem, że zbrodnie Niemców i hajdamaków pomszczone zostaną i że się wszystko zakończy nareszcie — dla Polski dobrze i szczęśliwie. Błagajmy o to Boga sercem ufnem i niezachwianem.

Biskupi w sprawie reformy agrarnej.

Toczą się właśnie na Sejmie w Warszawie rozprawy nad reformą agrarną. Z wyjątkiem tylko kilku posłów wszyscy inni są zdania, że w Polsce reformę agrarną przeprowadzić potrzeba, że wymaga jej dobro ludu i dobro całego narodu. Pod tym też względem niema dwóch zdań. Różnice zarysowują się dopiero, gdy chodzi o to, w jaki sposób tę reformę przeprowadzić. Piastowcy np. chcą, by nikt u nas nie mógł posiadać więcej nad 300 morgów i chcą każdą własność ziemską, większą od 300 morgów, poddać pod podział. Jest to stanowczo zamało. Uczeni znawcy gospodarstw twierdzą, że reforma po myśli Piastowców przyniosłaby tylko szkodę Polsce, ponieważ wyłoniłaby zubożenie kraju, zubożenie nawet robotnika. Ciągle więc jest teraz w Sejmie mowa o tem, jakby najlepiej tą sprawą pokierować. Wiedzą też wszyscy, że to sprawa niezmiernie ważna, że się jej nieda przeprowadzić za jednem pociągnięciem pióra i że powinna być uchwalona, jeśli nie jednomyślnie, to przynajmniej przez ogromną większość Sejmu.

Przy rozprawach tych mówi się także ciągle o tzw. dobrach „martwej ręki“, jak dobrach kościelnych, biskupich, klasztornych i plebańskich. Już w poprzednim numerze „Polski Siew“ dowodził, że ta nazwa „dobra martwej ręki“ jest niedorzeczna. Mniejsza jednak o nazwę. Biskupi i księża w zasadzie nie myślą się uchylić z pod konieczności poddania się reformie agrarnej. Wyraźnie oświadczają i oświadczyli już po wielekroć, że zgadzają się na odstąpienie takiej części dóbr kościelnych w Polsce, ile tego będzie potrzeba dla dobra ojczyzny, dla dobra ludu. Nie sprzeciwiają się więc wcale reformie, nie bronią wcale swoich posiadłości, jak im to w obrzydliwie podły sposób śmią zarzucać czerwoni socyaliści. Oczywiście zbyt wysoko stoją trony biskupów polskich, by urągania socyalistycznej wściekłości miały aż do nich dotrzeć. Do socyalistów w sam raz odnosi się w tym względzie polskie przysłowie: „pies szczeka, wiatr niesie“. Najlepiej też może byłoby z naszej strony, gdybyśmy nawet słowem się nie odezwali na te niecne urągowiska, bo wiemy, że uczciwy i szczery katolik łatwo się pozna na so-

cyalistycznej obłudzie. Chcielibyśmy jednak znowu zwrócić uwagę twą, ludu katolicki, na niemoralny sposób prowadzenia partyjnej walki przez socyalistów. Socyalistom nie chodzi dobro ludu, tylko o zapchanie własnych kieszeni złotem.

Najlepszym dowodem na to, że księża Biskupi poddają się reformie, jest oświadczenie ich, które w imieniu wszystkich polskich Biskupów odczytał w Sejmie ks. arcybiskup Teodorowicz. — W oświadczeniu tem powiadają oni, że są gotowi reformie się poddać, ale chcą, żeby Sejm w jakiś sposób porozumiał się co do tego ze Stolicą Apostolską. Dobra bowiem duchowne są własnością Kościoła, a więc zarząd nad nimi należy do głowy Kościoła tj. papieża. I to jest ta rzecz, która tyle narobiła wrzawy. Jakto? Więc my katolicy, my uznający papieża za głowę Kościoła i za namiestnika Chrystusowego na ziemi, a my oburzamy się na samą myśl porozumienia się ze Stolicą Apostolską?! My się tego wstydzimy? Nie, uszom się nie chce wierzyć. Czy to komu ubliża? Możnaby to przecież zrobić w odpowiedniej, łagodnej formie, możnaby to tak zrobić, że przecież wcale nie wyglądałby, iż „suwerenność“ Sejmu jest naruszona? Najwięcej zaś krzyku z tego powodu narobili socyaliści — ach, tak, cóż dziwnego, wszak oni ciągle walczą z katolicyzmem, choć obłudnie zapewniają, że są katolikami.

Oświadczenie księży Biskupów brzmi, jak następuje:

„Ponieważ planem reformy agrarnej objęto także majątki kościelne, przeto my, biskupi polscy, jako przedstawiciele kościoła w kraju, spełniając nasz obowiązek, zwracamy się do wysokiego Sejmu z następującemi żądaniami:

Nie chcemy, aby nas, duchowieństwo, posądzano o egoizm stanowy i o zbytnie przywiązanie do dóbr ziemskich i dlatego we wspólnym liście pasterskim wyraziliśmy gotowość poczynienia pod pewnemi zastrzeżeniami ustępstw. Mieliśmy przytem na względzie ogólne potrzeby narodu, a przytem postępowaliśmy w myśl kościoła katolickiego, który na pierwszym planie stawia zbawienie duszy, a wszystko inne uważa za rzeczy podrzędne. Gotowość, którąśmy wtenczas objawili, podtrzymujemy w całej pełni, jednakże uważamy za potrzebne podać pewne wyjaśniena i poczynić pewne zastrzeżenia, wynikające z prawa kościelnego.

Wszystkie majątki, znajdujące się w rękach osób duchownych„ a więc dobra biskupie, klasztorne, kapitulne, tudzież grunta, oddane do użytku proboszczów, czy stowarzyszeń religijnych, ponadto grunta fundacyj kościelnych, wszystko stanowi własność kościoła katolickiego. Do niego należą także dobra tak zwanych funduszów religijnych w dawnym zaborze austryackim, które jakkolwiek w myśl konkordatu pozostawały pod zarządem austryackiego rządu, jednakże aż do ostatniego czasu zachowały swój osobny charakter i dochód z nich był obracany na cele religijne. Jako własność kościelną, należy także uważać tak zwane dobra poduchowe w dawnym zaborze rosyjskim, które jako nieprawnie kościołowi zabrane przez nieprzyjacielskie rządy, powinny wrócić do prawego właściciela. Wszystkie te zatem dobra nie mogą być uważane, jako własność narodowa, czy też państwowa, którąby Sejm czy naród mógł dowolnie rozporządzać.

Jak wiadomo, powstały one z zapisów, czy darowizn naszych dawnych przodków, którzy te ofiary czynili nie państwu, lecz kościołowi, wiążąc je za to z pewnymi zobowiązaniami ku chwale Boga i ku pożytkowi ludzi. Ofiarodawcy często z góry wykluczali wszelką państwową ingerencyę, czyniąc wyraźne zastrzeżenia, że gdyby majątek miał przestać służyć celom kościoła, powinnen wrócić do rodziny, albo zostać użyty na inne cele dobroczynne. Taka była wola fundatorów, którą w ciągu wieków szanowały i szanują wszystkie rządy, o ile nie były wrogie kościołowi katolickiemu. Na straży tej własności kościoła stoją wyraźne przepisy prawa kanonicznego i kościelnego i każdy wierzący katolik te przepisy uszanować powinien, o ile nie chce popaść w kolizyę z własnem sumieniem. Na takiem stanowisku stały zawsze rządy katolickie, a nawet i niekatolickie, o ile kościołowi katolickiemu przyznawały pewne prawa i swobody. Tylko rządy i państwa wrogie kościołowi posuwały się do gwałtów i grabieży majątku kościelnego. Kościół zawsze protestował przeciw takiemu naruszeniu prawa własności i uważał je nietylko za zwykłą kradzież, ale za świętokradztwo i jako takie ścigał karami kościelnemi.

Wszystkie zmiany w majątku kościelnym, aby były legalne, potrzebują koniecznie zgody dobrowolnej kościoła, co znaczy, gdzie chodzi o rzeczy większej wartości, potrzebują zgody Ojca św. — Przedstawiwszy ogólne zasady prawa kościelnego, wyrażamy nasze przekonanie, że naród polski z jego świetną tradycyą katolickiego narodu, do dziś prawie zupełnie katolicki, nie zechce rozpocząć swego cudem przywróconego bytu państwowego od nieprawnej grabieży własności katolickiej. Krok ten nie jest zgodny z całą naszą przeszłością i obecnym charakterem i wywołałby zdumienie u wszystkich katolików świata całego i zraniłby głęboko serce Ojca św., który nam tyle okazuje serca i wszędzie głosi, że „Polonia semper fidelis“. Przeciwko nieprawnemu naruszeniu majątku kościelnego, musielibyśmy głośno i energicznie zaprotestować i nie moglibyśmy się cofnąć, choćby nam to groziło prześladowaniem, czy wojną religijną“.

O szkole „świeckiej“ i o szkole „wyznaniowej“

Czyta się dziś w pismach i słyszy na zebraniach często te dwa słowa: „chcemy szkoły świeckiej!“ krzyczą jedni — „żądamy szkoły wyznaniowej!“ wołają drudzy. Co te hasła znaczą?

Szkoła „świecka“, to znaczy szkoła bez katechety, bez nauki religii, bez praktyk religijnych, to szkoła, w której tylko świeccy ludzie i o świeckich rzeczach uczą. Taka szkoła np. była przed wojną we Francyi — uczono tam czytać, pisać, rachować i innych wiadomości, ale o Bogu i przykazaniach Bożych mowy nie było. I co za ludzie z takiej szkoły wyrośli? Ludzie tacy, których się sami ich nauczyciele przelękli — ludzie w nic niewierzący, ludzie bez sumienia, ludzie gotowi kraść, oszukiwać, zabijać, byle im to tylko korzyść przyniosło, bo i któż im miał tego bronić, gdy Boga jeszcze na ławie szkolnej z ich serc wypędzono? Takiej to szkoły żądają dla polskiej dziatwy socyaliści i żydzi. Przed taką szkołą „świecką“ każdy katolik bronić się musi.

Hasło znowu szkoły „wyznaniowej“ wysuwają wszyscy ludzie religijni bez względu na to, do jakiego wyznania, do jakiej religii należą. Szkoła bowiem „wyznaniowa“ znaczy, iż każde wyznanie każda religia ma mieć swoją szkołę — dla dzieci katolickich ma być szkoła katolicka, dla luterskich luterska, dla żydowskich żydowska i w każdej szkole mają uczyć nauczyciele tej religii, jaką religię wyznają dzieci, a więc np. w szkole katolickiej, nie może być nauczycielem żyd. Żądanie to jest całkiem słuszne, bo jeżeli dziecko ma się wychować religijnie, to musi w religijnem otoczeniu się znajdować. Gdy z jednej strony dziecka katolickiego siedzi żydowskie, z drugiej protestanckie, gdy nauczycielem jest żyd albo ewangelik, to trudno, by takie otoczenie nie wywarło złego wpływu na młodą duszę, by to dziecko nie obojętniało dla swojej wiary. Wiarę żywą rozwinąć i zachować tylko wtedy w duszy dziecka można, gdy się je ludźmi o tej samej wierze, o tych samych przekonaniach otoczy. Szkoła „wyznaniowa“ nie jest zaś krzywdą dla nikogo, bo przecież tych samych praw, jakich żądamy dla siebie, domagamy się i dla innych — żydom chcemy dać szkołę żydowską, ewangelikom ewangelicką, dla siebie zaś chcemy katolickiej.

Sprawa, jaką będzie szkoła w Polsce, jeszcze nie rozstrzygnięta, jeszcze tego sejm i rząd nie postanowił — zadecyduje zaś sejm i rząd tak, jak sobie tego naród będzie życzył, dlatego świętym naszym obowiązkiem jest wołać głośno i często: „chcemy szkoły wyznaniowej!“ Niech ci, którzy w tej sprawie rozstrzygają, wiedzą, że Polska chce mieć dzieci wychowane religijnie, a nie obojętnie dla wiary. Katolicki nauczyciel i katolicka szkoła dla katolickiego dziecka! X. F. B.

Sprawa mstyczowska.

Jest w dyecezyi kieleckiej parafia Mstyczów. W czasie rewolucyi w listopadzie zeszłego roku i w następnych miesiącach, kiedy to zakusy socyalistyczne usiłowały zwalić kościół i podburzyć przeciwko kościołowi nieuświadomiony lud polski, burzycielska ręka bolszewizmu dotarła i do Mstyczowa. Właśnie warunki tak się złożyły, że w parafii nie było zupełnie pasterza, którego biskup przeniósł gdzieindziej. Jest tam bowiem zwyczaj z czasów rosyjskich, że niema probostw takich, jak u nas, gdzie ksiądz proboszcz osiada w parafii na stałe i bierze niejako ślub z kościołem a nie można go z tego miejsca bez jakichś nadzwyczaj ważnych powodów usunąć. Tam biskup wysyła na plebanię proboszcza tylko na lat kilka i zależnie od swego upodobania przenosi go do innego miejsca. Właśnie ksiądz z Mstyczowa został przeniesiony i chwilowo probostwo to zostało opróżnione.

Bolszewicy zdołali tak obałamucić tamtejszy lud i jednego młodego księdza, Huszno, że ci nie pytając się wcale o to, czy biskup się zgodzi, czy nie, wybrali swoim proboszczem księdza Huszno, który też tam przyjechał, osiadł, odprawiał mszę, spowiadał, udzielał sakramentów, między innymi także sakramentu małżeństwa — oczywiście nieważnie. Biskup rzucił na Mstyczów klątwę. Socyaliści po swoich piśmidłach, zwłaszcza w piśmidle pt. „Prawo ludu“ uderzyli na alarm i zaciskali ręce z radości. Krzyczeli, że od Mstyczowa zacznie się reforma kościoła w Polsce, że ks. Huszno nie jest wyjątkiem, ale że są także inni młodzi księża, którzy to samo zrobią, co ten nieszczęśliwy kapłan. Hałasu, wrzasku, kwiku, pisku socyalistycznego było po uszy. Kiedy ks. Huszno wydał lichą broszurę o reformie kościoła, broszurę źle napisaną, pełną błędów, tchnącą herezyą, to socyaliści znowu rozprawiali o tej książce jakby o jakiem dziele epokowem, jakby o czemś nadzwyczajnem. Nawet wielkie i sławne odkrycie Kopernika (Kopernik był księdzem) nie sławiła ludzkość tak, jak socyaliści zachwalali i pod niebiosy wynosili broszurę ks. Huszny. Poprostu nie było

na świecie nic lepszego i wspanialszego nad tę książkę. Niejeden z czytelników „Prawa ludu“ myślał sobie, że to pewnie wszystko prawda.

Tymczasem, Bogu dzięki, zakończyła się ta smutna sprawa mstyczowska jak najpomyślniej. Ksiądz bowiem uznał, że zrobił głupstwo, przeprosił wszystkich za zgorszenie i odwołał swe książki, potępił to, co w nich napisał.

Nie dosyć na tem. Upokorzył się i udał się na kilka tygodni do Częstochowy, aby tam poddać się pokucie i odprawić rekolekcye. Tak się skończyła ta sprawa. Dowodzi ona naprzód, że ksiądz Huszno mimo wszystko nie zatracił jeszcze wiary i serca, potem, że kościół w Polsce stoi silnie i niewzruszenie, że nim pajace socyalistyczne nie mogą wstrząsnąć, a to dlatego, że nasz lud, choć wiele ma wad, nie zagubił przecie wiary i tą wiarą żyje. Wreszcie dowodzi ta sprawa ks. Huszny i kościoła mstyczowskiego, jak płytkie i kłamliwe są pisaniny socyalistów, jak bardzo bałamucą oni lud roboczy, a nie dają mu dobrej, umysłowej strawy w swoich gazetkach, przedwszystkiem zaś dowodzi ta sprawa jasno, że socyaliści chcieliby wydrzeć ludowi jego wiarę katolicką, a puścić go na błędne fale herezyi lub schyzmy. Zachwalana bowiem przez nich sprawa mstyczowska była i herezyą i schyzmą. Czyż więc będzie im jeszcze kto wierzył, że oni nie tykają wiary i nie walczą z religią?

Prześladowanie Kościoła na Węgrzech.

Głoszą socyaliści, że każdemu zostawiają wolność sumienia, że prawdziwa wolność zapanowałaby dopiero pod rządami socyalistów. Tymczasem pokazuje się, że niema większej niewoli od tej, w jaką dostają się ludzie pod rządami socyalistów, zwłaszcza zaś bolszewików. Bolszewicy są bowiem socyalistami, tem tylko od socyalistów-niebolszewików różni, że kiedy tamci zatrzymali się w połowie drogi, to bolszewicy przyjęli socyalizm całkowity ze wszystkimi jego następstwami. Bolszewizm dowiódł dzisiaj naocznie całej ludzkości, że wprowadzenie zasad socyalistycznych w życie jest najstraszliwszą niewolą, jest zepchnięciem społeczeństwa w otchłań barbarzyństwa i niemoralności, jest zagubą religii.

Najgorzej pod rządami bolszewickimi wychodzi religia i kościół. Pisaliśmy kiedyś o nieludzkich zbrodniach, jakie popełniają bolszewicy w Rosyi na kapłanach schyzmatyckich, o gwałtach i świętokradztwach, jakich dopuszczają się tamże. Dziś zwróćmy uwagę na bolszewików węgierskich. Zobaczymy tam coś podobnego, jak w Rosyi.

Kiedy władzę objęli na Węgrzech bolszewicy, wydali oni odezwę, w której zapowiadali, iż Kościołowi i religii zostawiają całkowitą wolność. Odezwa ta miała być ogłoszona z ambony, a jeśli gdzie ksiądz tego nie chciał uczynić, zmuszano go gwałtem, grożono rewolwerem. Wnet pokazało się, jak wygląda wolność religii i kościoła w pojęciu bolszewików. Dla objaśnienia dodajemy, że wodzami bolszewizmu na Węgrzech są, jak wszędzie, żydzi. Otóż żydowscy ci przewódcy bolszewików skonfiskowali i zagarnęli cały majątek kościelny, zabrali nawet domy parafialne. Proboszczom zabrali mieszkania, pozwolono im mieszkać w jednym tylko pokoju. Nie dosyć na tem. Do dnia 30 czerwca mają księża oświadczyć, że porzucają stan duchowny, bo tylko pod tym warunkiem mogą być uznani za „proletaryuszów“. Jeśli sukni kapłańskiej nie porzucą, nie będą mogli ani jeździć koleją, ani otrzymać aprowizacyi, ani korzystać z urządzeń publicznych, które stoją otworem dla każdego innego człowieka. Wielu kapłanów poniosło już śmierć męczeńską, wielu jęczy po więzieniach.

Tak prześladują kościół bolszewicy-żydzi. Ach, straszna, okrutna i krwiożercza jest ręka żydowska, gdy dojdzie do władzy. W chwili, gdy w najokropniejszy sposób prześladowany jest kościół na Węgrzech, w tej chwili nikt nie prześladuje rabinów żydowskich, nikt nie rzuca się na bóżnice żydowskie. Żyd przecie nie rzuci się na żyda. — Prześladowania te jednak nie zduszą kościoła. Już dzisiaj bowiem pokazuje się skutek prześladowań wcale inny, niżby sobie tego życzyli bolszewicy. Na nabożeństwa i procesye garnie się tyle wiernych, ile dawno nie garnęło się na Węgrzech. Potwierdza się stara prawda, że krew męczenników staje się posiewem chrześcijan.

Chrześcijanie czy poganie?

Przechodziłem pewnego dnia przez rynek krakowski. Ludzi, jak zwykle, dużo. Tu gromadka rozmawiających z sobą, tam jeden lub kilku przechodzi, tam jeszcze ten i ów podnosi oczy ku wieżycom Maryackim lub na Sukiennice. Bitym chodnikiem płynie masa tłumu. Doszedłem do ratusza, gdzie przerzedziła się fala publiczności i spotkałem idących ze sobą dwóch robotników czy wyrobników. Rozmawiali żywo ze sobą. Stare, wytarte mundury austryackie, jakie mieli na sobie, wskazywały, że byli oba dawniej żołnierzami, może na frontach i że wrócili z długiej poniewierki.

Szli wprost ku mnie. Przechodząc, prawie, że otarli się ramieniem o mnie. Widok księdza podziałał na nich tak, że nie mogli przejść spokojnie, że musieli czemś go dotknąć, że musieli coś powiedzieć o Bogu i religii.

Nie słyszałem wszystkiego, co tam mówili, ale doleciały do moich uszu takie mniej więcej słowa:

— Pójdziesz ty do spowiedzi? — spytał jeden.

— Do spowiedzi? — odparł zapytany — poco do spowiedzi? Jakem był na froncie, tom się modlił do Pana Boga całemi dniami. Modliłem się i modlił, żeby się wojna skończyła. Chodziłem do spowiedzi raz, drugi i trzeci, żeby już koniec się stał tej wojny, a co mi z tego przyszło? Nic. Wojna trwała, jak długo miała trwać, z moich spowiedzi nic. Po co mam znowu iść do spowiedzi?

Tak przepowiadał na głos ów biedny człowiek, może robotnik, może wyrobnik, najprawdopodobniej socyalista.

Słuchałem tego i myślałem, idąc, jak sobie jednak ten człowiek przedstawia Boga i za kogo on Boga ma? Przyszło mi na myśl, że takich ludzi dzisiaj jest ogromnie dużo. Potracili wiarę, zepsuli się, zupełnie zagubili gdzieś prawdziwe pojęcie o Bogu i działaniu Boga w świecie.

Kto bowiem tak pojmuje Boga, jak ów wspomniany robotnik, pojmuje Go po pogańsku, jest poganinem. Poganie bowiem czynili w ten sposób, że składali bożkowi na ofiarę jakąś rzecz, jakieś owoce, płody lub co ze zwierząt, owcę, jałówkę i żądali od bożka żeby im za to dał tę a tę rzecz. Wyglądało to tak: ja ci, boże, daję tę ofiarę, a ty mi musisz dać to a to. Daję ci po to, abyś ty mnie dał. Jeśli życzeniu poganina nie stało się zadość, robił wyrzuty bożkowi, złorzeczył mu, nawet pomstował na niego.

W wielu wypadkach dzisiejsi ludzie taksamo postępują. Po pogańsku postąpił także ów robotnik. Odmawiał pacierze i szedł do spowiedzi i robił z tej spowiedzi i ze swoich modłów ofiarę Bogu. To, że tak czynił, to jeszcze nic złego, owszem, można powiedzieć, że czynił bardzo dobrze. Ale sposób, w jaki to czynił, był zupełnie pogański. Modlił się bowiem i spowiadał po to, aby Pana Boga zmusić do wysłuchania, aby Pana Boga przyniewolić, by dał pokój światu. Żądał od Boga wprost nadzwyczajnego cudu, a żądał go za parę swoich wyklepanych pacierzy i za kilkakrotne przystąpienie do spowiedzi. Gdyby Pan Bóg za nasze pacierze musiał nam coś dać, to właściwie nie byłby ani Panem, ani Bogiem, tylko byłby naszym sługą, a my bylibyśmy jego panami. Cobyśmy mu nakazali przez odmówienie pacierza lub przez spowiedź, musiałby uczynić. Nie my stosowalibyśmy się do Jego woli, ale On musiałby iść za naszą ludzką wolą. Nie Onby ostatecznie rządził, ale mybyśmy rządzili. Modlitwa nasza i prośba, byłaby tylko zwyczajną formą, zwyczajnym środkiem, zapomocą którego musielibyśmy otrzymać to, co chcemy czego pragniemy. Słowem, pojęcie takie jest czystem pogaństwem, pojęcie takie jest niegodne chrześcijanina. A iluż ludzi dzisiaj tak myśli i tak się zapatruje na całą religię! Ach, jakże oni biedni, jakże oni nieoświeceni, jakże oni ciemni w sprawach religijnych...

Powinni przecież wiedzieć o tem, że modlitwa jest prośbą, a jeśli kogoś prosimy o co, to prosimy dlatego, że wiemy, iż on nam może dać, ale nie musi. Bóg cud nadzwyczajny może uczynić, i my Go możemy o niego prosić, ale Bóg nie musi uczynić. Bóg jest mądrością, Bóg tedy wie, czemu nie zawsze czyni to, o co go błagamy. Za każdą modlitwę naszą dzięki zasługom Chrystusa Pana zawsze Bóg daje nam jakąś łaskę, ale nie daje nam zawsze tej łaski, o którą my go w tej chwili prosimy, On ma w tem swoje zamiary Boże. Więc nie oburzać nam się i nie tracić nadziei; nie tracić wiary, nie sarkać na Boga, jeśli czasem nie uczynił tego, czego od niego chcielibyśmy, choćby to nam się wydawało dobre. Niech Jego dzieje się wola, nie nasza. Wszak jesteśmy chrześcijanie, nie poganie. (s).

Pachciarz.

Mieszkałem w jednem miejscu fabrycznem. Była w tem miejscu huta, potem ją przekształcono na śrubiarnię. Miejsce ładne, położone nad górską rzeką, prawie że wysychającą latem, a wzbierającą na wiosnę i rozlewającą się w powodziach na pastwiska i niwki. Szkody rzeka ta robiła niesłychanie wielkie. Gospodarze, mający posiadłości nad nią, ciągle staczali z nią zapasy zapomocą tam czyli jazów, robionych z gałęzi drzew i rzecznych kamieni. Jeden tylko był pożytek i zysk, jaki dawała ta rzeka. Był to piasek. Po każdej powodzi leżały ławice piasku na kamieńcu i po zakątach brzegów. Piasek ten prędko wysychał i dopraszał się niejako, by go wziąć do użytku.

W fabryce dokonywało się właśnie stawianie jakiegoś domu i piasku było gwałtownie potrzeba. Dyrektor fabryki zwrócił się do gospodarzy, mających grunta nad wodą, i zaofiarował pewną sumę za każdy metr. Rozpoczęła się gorączkowa praca na kamieńcach i po brzegach. Sypano i przesiewano kupy piachu przez szerokie sita, zajeżdżano z wozami, nasypywano je piaskiem i odwożono do fabryki. Trwało to jednak kilka dni tylko. Stanął bowiem wszystkim na przeszkodzie sprytny i chytry, jak żmija, żyd, co miał w tej wiosce karczmę. Polatał po brzegach, pooglądał zapasy piasku i pognał co żywo do dyrektora.

— Ile pan dyrektor płaci metr piasku? — zapytał.

— Pięć koron — odpowiedział dyrektor. — Zdaje mi się, że wtenczas zapłata nie wynosiła więcej. Każdy z gospodarzy brał po pięć koron i był zadowolony. Zarobeczek to był wcale nie zły.

— Na, ja panu dyrektorowi dam piasku po cztery korony za metr; po co pan potrzebuje płacić pięć koron? a staranie, a zachody, czy to za darmo? Ja panu dyrektorowi odstawię piasek po cztery korony, bez kłopotów.

Dyrektor zgodził się.

Żyd spachtował piasek. Sam nie miał ani piędzi ziemi swojej nad rzeką, sam nie miał ani ziarneczka piasku, a jednak spachtował piasek.

I wiecie, co się dalej stało? Dyrektor wezwał chłopów. Przyszli do dyrektora, a ten powiada, że on piasku nie potrzebuje, tylko Icek i że mogą iść do Icka. Chłopi poszli. W ciemnoście i głupocie swojej poszli. Zamiast powiedzieć sobie razem: „Wiecie co, gospodarze? Sypmy piasek dalej, siejmy go, bo go fabryka potrzebuje koniecznie. Ale dajmy sobie słowo i zwiążmy się jakby przysięgą, że do fałszywego i niecnego żyda-podszczuwacza żaden z nas nie pójdzie i żaden ani garści piasku mu nie sprzeda". Zamiast powiedzieć sobie tak i żydowi pokazać bat i zmusić fabrykę, by się do nich zwróciła, oni chciwi, chodzący z sobą w zawody i niezgodni z sobą, poszli jeden po drugim do żyda i żydowi zwozili piasek po 3 kor. 50 halerzy. Zwozili ten piasek tak, jak dawniej, do fabryki. Dyrektor był zadowolony, jeszcze więcej zadowolony był żyd, a chłopi na każdym metrze skróś żyda stracili 1 kor. 50 hal. Na każdym z nich zaś żyd, co ani ziemi, ani piachu nie miał, zarabiał 50 hal. z metra.

To, co tu piszę, jest prawdziwym wypadkiem. Przyjechałem właśnie ze studyów do domu do tej wioski i usłyszałem, co ten podły żyd zrobił. I wiecie, co? Nie dziwiłem się żydowi, bo wiedziałem, że żyd dołki kopie pod nami i pasie się niedolą naszą. Ale zdziwiłem się gospodarzom. Kiedym usłyszał, jak zrobili, jak do żyda poszli i oddali mu do rozporządzenia swój piasek, łzy stanęły mi w oczach, byłbym się rozpłakał, a uczucie, jakie uczułem wtedy do naszego chytrego niby, lecz ciemnego chłopa, było uczuciem politowania. Tylko ciemnota i chciwość i samolubstwo i niezgoda sąsiedzka mogą pozwolić, aby żyd, jak pasożyt, ssał nasze soki żywotne. I przypomniał mi się jeden wiersz Mickiewicza, tylkobym pewne w nim poczynił zmiany:

O biedny chłopie! spodlenie się takie i zaprzedanie się żydowi „jest psu zasługą, człowiekowi grzechem". Jakąż ty nagrodę weźmiesz za to, żeś był żydowi wierny, jak sobaka. (s.)

W. GOMULICKI.

Dzwony.

A te dzwony! te dzwony!
gdy zabrzmią wśród błękitu,
po ziemi i po murach
idą dreszcze zachwytu.

Aż do najdalszych kresów,
aż po chatki rybacze,
miasteczko drży i dźwięczy
i modli się i płacze...

Gdy ich serca przed sumą
rozkołysze niedziela
przysiągłbyś, że to w chmurach
anielska gra kapela.

Pod wieczór już smętniejsze,
ciszej na nieszpór dzwonią,
jak gdyby odurzone
kadzideł mocnych wonią.

Cdy kto z mieszczan do Boga
z ziemskiej wraca tułaczki,
dzwony nad jego trumną
rozpaczają, jak płaczki.

W pomieszanym ich chórze
dziwne wówczas brzmią głosy:
dźwięczy rydel grabarza,
szczęka krzywa stal kosy.

Niekiedy sygnaturka,
jak przelękła ptaszyna
głosem drżącym, zdyszanym
jęczeć w górze poczyna.

Kto w mieście ją usłyszy,
zamyśla się i lęka;
kogo doleci w domu,
przed obrazami klęka.

Wie każdy, że to gasną
czyjegoś życia zorze,
że ktoś w cichem miasteczku
kona — skonać nie może.

Ale najboleściwiej
brzmi muzyka wieżowa,
gdy się za dachów szaniec
słońce gasnące chowa.

W tej porze uciszenia,
gdy głosy ziemskie drzemią,
dzwon modlić się poczyna,
za tych. co śpią pod ziemią.

Przyzwyczajanie dzieci do pilności.

Woda stojąca w stawku w krótkim czasie poczyna się psuć: staje się mętną, cuchnącą i napełnia się obrzydliwem robactwem. Ta woda nie jest przydatna do picia, ani dla ludzi, ani dla zwierząt. A czemuż woda stojąca tak się psuje? Właśnie dlatego, że stoi i próżnuje.

Woda płynąca nigdy się nie psuje, ale zawsze czysta i dobra.

Z człowiekiem jest taksamo.

Człowiek w pracy pilny nigdy się nie zepsuje całkiem. Ale kto oddany jest lenistwu i bezczynności, ten zabawia się myślami złemi, do odparcia złych pokus jest za słaby, a natomiast nawet do największych zbrodni zdolny. Dlatego też natchniony pisarz mówi w księdze P. Syracha: „Wiele złości nauczyło próżnowanie".

W świecie nas otaczającym nic nie próżnuje: trawki wzrastają, kwitną i wydają nasiona; zwierzęta szukają pożywienia, wiją gniazda i pielęgnują młode; wody płyną do morza, wznoszą się jako chmury ponad nasze głowy i stamtąd spadają kroplami na ziemię; słońce wschodzi i zachodzi, ogrzewa szerokie ziemie i świeci; gwiazdy na niebie wykonują dalekie biegi.

Człowiek także do pracy stworzony.

Nie jest to nieszczęściem, że człowiek pracować musi, ale przeciwnie, praca jest dobrodziejstwem.

Pracującemu człowiekowi czas szybko mija, nudy go nie dręczą. Pracowity wyrabia w sobie siły, zwykle cieszy się zdrowiem, zapewnia sobie chleb i grosz, a wreszcie niebo.

Pan Bóg za karę nałożył na człowieka pracę, ale tę pracę uczynił zarazem dobrodziejstwem dla człowieka.

Tego zazwyczaj ludzie nie rozumieją i dlatego od pracy uciekają, a za lenistwem wzdychają; tych mają za szczęśliwych, którzy nic, albo mało robią.

Rozważcie to, co powiedzieliśmy o pracy, rodzice. Wy musicie sami pracę kochać, jeżeli dzieci wasze mają być pracowitemi i szczęśliwemi.

Ojciec i matka przy dzieciach nie powinni narzekać na pracę. Owszem przeciwnie, powinni dzieciom często o tem wspominać, że jak ptak do latania, tak człowiek stworzony jest do pracy, a kto nie pracuje, jeść nie powinien. Nigdy rodzice nie powinni dzieciom mówić: Ten a ten jest szczęśliwy, bo nie ma co robić. Nie powinni żalić się na to, że muszą dużo się napracować.

Niechże matka patrzy, jak to dziecko, gdy jeszcze w kolebce leży, ciągle się rusza, nogami kopie, rękami chwyta, co może. Znak to, że człowiek ma wrodzony pociąg do pracy. Gdy dziecko podrasta, a pracować nie może jeszcze, lubi się czemś zabawiać, a spokojnie usiedzieć nie może. Mądra matka umie to usposobienie ruchliwe dziecka ku dobremu skierować. Taka matka nie woła na dziecko raz po raz: „a siedzisz ty cicho", ale daje mu ciągle jakieć zajęcie. Każe mu rzucić kurom ziarna, przynieść drzewa do palenia, każe mu pilnować gęsi, by nie szły do szkody, każe mu zbierać rozsypane ziarno. Gdy zrobi co dobrze, pochwali je; czasem każe mu odpocząć. W ten sposób matka ma ulgę w pracy, a dziecko przyzwyczaja się do pracy.

Mam sposobność przypatrywania się codziennie, jak niektóre matki postępują pod tym względem nieroztropnie. Oto pozwalają swym pięcio, sześcio, a nawet siedmioletnim dzieciom, że cały Boży dzień wałęsają się bez pożytecznego zajęcia. Wprawdzie nie siedzą cicho, bo biegają koło domu, bez końca hałasują, czasem nawet psot się dopuszczają, a matki na to patrzą i nie rozkażą im, by coś robiły, choć mają dla nich zajęć pod dostatkiem.

Czy się te dzieci nie muszą popsuć? czy z nich wyrsną pracowici ludzie? — oto pytania, które każdy musi sobie zadać, kto patrzy na takie wychowanie.

Niech również matki nauczą swe dzieci pracę ofiarować Bogu, bo za taką tylko, to jest. z miłości ku Bgu podjętą pracę, czeka człowieka także i za grobem nagroda.

Chłop—obywatel.

„Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą".
Kasprowicz

Chłop, chłopu, chłopom — odmienia się teraz na wszystkie sposoby. Z całą siłą podkreśla się przywileje chłopskie, z zapałem broni się równouprawnienia chłopa. Bo, jeśli ten chłop stanowi 75 procent, czyli trzy czwarte narodu, to mu się należy więcej, a choćby tyle, co pozostałej jednej czwartej: inteligencyi, mieszczaństwu itd.

Ale nie wystarczy mówić głośno, pisać ostro o tem, co się chłopu należy. Trzeba od czasu do czasu przypomnieć, co ten chłop powinien, jakie są jego obowiązki wobec Rzeczypospolitej.

Bo, jeśli zasiadł taką ławą w pierwszym sejmie odrodzonej Ojczyzny, to niétylko po to, by

dyktować swą wolę, ale i po to przedewszystkiem, by spełnić swój obowiązek, być wyrazem woli narodu i okazać dobrą wolę w służbie interesom narodowym.

Skoro posiadł chłop wszystkie prawa obywatelskie, winien wszystkie obywatelskie spełniać obowiązki. Rzecz całkiem jasna. Chłopski rozum, prosta chłopska prawda, przyzna mi racyę — bez ociągania.

Radbym, by ktoś ze światlejszych chłopów zabrał głos w tej sprawie — dlatego tylko podam parę rysów:f chłopa-obywatela.

Chłop — obywatel prawdziwy musi być patryotą!

Co to znaczy?

Chłop był bałamucony przez rządy zaborcze, był bałamucony i tumaniony nawet przez swych przywódców — i stracił to najważniejsze poczucie obywatelskie, jakiem jest przywiązanie do ojczyzny, zrozumienie jej potrzeb.

I to, widzicie, bardzo ważne, by na wsi obudzić to przysypane uczucie narodowe, co drzemie jak iskra pod płachtą popiołu!

Każdy z Was musi się czuć Polakiem, synem i obywatelem narodu 30-milionowego blisko — i przejmować się żywo tem, co cały naród boli, a co cieszy, co narodowi korzyść, a co szkodę niesie, czem pdnosi się naród, czem ku zgubie i ruinie spada.

Na wsi musi dzisiaj chłop światły pouczać tych, co mniej umieją i wspólną pracą wszystkich tworzyć z każdej gminy silne ognisko polskości, placówkę polskich interesów.

— Musicie, chłopi, dążyć do tego, by sami rządzić się i starczyć sobie wszędzie: w gospodarstwie, handlu, przemyśle domowym itd.

Zapobiegliwością swoją, pracą, zgodą, wzajemnem poparciem i czynną pomocą musicie zastąpić żydowski chałat, który się pląta dotychczas między wami, bogacąc się waszą krwawicą.

Niech żyd nie kupuje ziemi polskiej, niech nie wywozi waszej wełny, jaj, drobiu, owoców, drzewa itd. Wy sami się urządzajcie bez pośredników obcych! Zawiązujcie spółki jajczarskie itp. Ludzie inteligentni chętnie Wam pomogą, tylko od Was musi wyjść ochota, zrozumienie własnego interesu i zgoda, bez której najmędrsi i najlepsi ludzie nic dla Was nie zrobią — bez Was.

Kupą więc i raźno do spełnienia obywatelskiego obowiązku, by majątku narodowego strzedz, by go trzymać silnie w swych rękach, w swym zarządzie!

Przypominać Wam niepotrzebnie nie będę, jak wychodziliście na pośrednictwie żydowskiem i jak żydzi konszachtowali ze szwabami, robiąc majątki na wywozach. Tysiące grube zostaną w gminie każdego roku, jak w zgodzie i solidarnie, t. zn. wszyscy bez wyjątku, zrozumiecie potrzebę organizacyi, łączności dla dobra Ojczyzny.

Ale nie tylko o strzeżenie majątku narodowego chodzi. Chłop-obywatel rozumie, żeby być naprawdę dobrym Polakiem-obywatelem, trzeba nie tylko polski chleb jeść, na polskiej ziemi pewnie i twardo siedzieć i tę ziemię jak najlepiej uprawiać, by chleba polskiego, naszego, przybywało z roku na rok, nietylko trzymać w rękach swoich handel, przemysł, ale trzeba mieć p o l s k ą d u s z ę!

Trzeba być Polakiem uświadomionym, by być dobrym obywatelem państwa polskiego!

Żeby ta polska dusza w Tobie żyła, musisz jej dać światła i pokarmu. A tem światłem i tą strawą potrzebną dla duszy — to polskie dzieje, które znać winieneś, polska dobra książka i gazeta, które mają być Twemi towarzyszkami stałemi. Stamtąd dowiesz się, jak Polska żyła, czem była i czem jest i kim Ty jesteś.

Musi Cię koniecznie obchodzić szeroka Twoja Ojczyzna, musisz wychodzić poza Twoje podwórko i poza Twoją wieś — i sercem łączyć się z braćmi, synami tej samej ziemicy polskiej, co od turni tatrzańskich po wody Bałtyku sięga.

— Chłopu polskiemu oświecać się trzeba! — I widzicie nie mówię, że: go oświecać trzeba. Jemu samemu trzeba się jąć tego obowiązku obywatelskiego. Bo znów bez Was: nie poradzą i najmędrsi i najlepsi. Wy radźcie nad tem, by w każdej gminie czytelnia w osobnym domu ludowym powstała i sięgnijcie chętnie do kieszeni na cele oświaty.

Kto ma polską duszę, ukochanie ziemi ojczystej, majątku narodowego i jego rozwoju — ten i inne obowiązki, jakie dla ochrony duszy polskiej interesów polskich spełnić przyjdzie, spełni chętnie i okaże się obywatelem w każdym calu!

Ten pospieszy podpisać pożyczkę dla swej matki-Ojczyzny, ten pospieszy chętnie do wojska swojego. ten płacić będzie skwapliwie podatki do swego skarbu narodowego itd.

Płaciliście rządom złodziejskim, „wybijaliście“ lata całe przy wojsku, na obcej służbie — okażcie teraz, że „dla siebie“, dla Ojczyzny swojej, umiecie być choćby... tak samo lojalnymi, usłużnymi.

A przecież trzebaby coś więcej okazać i serca i pomocy i ofiarności matce swej rodzonej — Ojczyźnie, niż kiepskiemu opiekunowi i ojczymowi, jakim był rząd zaborczy.

— A niechże ten i ów do gazety napisze, jak mu się zdały te moje uwagi i coby do nich dodać.

Bo, widzicie, to sprawa bardzo ważna i nie byle jaka.

Jak chłop będzie prawdziwym obywatelem państwa polskiego, jak pod gunią i cuchą czy płóciennicą będzie bić serce chłopa-obywatela, chłopa-Polaka uświadomionego, dobrego, prawego

syna Ojczyzny, będzie dobrze z nami! Wtedy i tylko wtedy będziemy wszyscy śmiało powtarzać:

„Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą!“.

X. H. Weryński.

List do rodziców i młodzieży.

W niniejszym liście chcę poruszyć sprawę wychowania młodzieży. Chcę i pragnę, aby młodzież polska w zmartwychwstałej Ojczyźnie była taka, jakiej się domaga Bóg i Ojczyzna. Dzisiaj na młodzież narzekają ludzie, a książki i gazety szeroko się rozwodzą i opisują zdziczenie młodego pokolenia i jego zgangrenowanie przez rozpustne życie i niemoralność.

A czemu to tak jest, jaka tego przyczyna? Przyczyną tą jest złe wychowanie młodzieży. Rodzice! jeżeli chcecie doczekać się pociechy z waszych dzieci, jeżli chcecie, żeby one wyrosły na pociechę społeczeństwa i Ojczyzny, to musicie dać im dobre wychowanie, musicie nauczyć je kochać Boga i kraj swój!

W ich sercach musicie zaszczepić cnotę, musicie ich nauczyć cenić tę cnotę i jak ją mają zachować musicie im wskazać.

Niejedna matka cieszy się i chlubi z tego, że jej córka lub synek umie i lubi się ubierać. Lecz łaska poświęcająca i niewinność to są najpiękniejsze ubrania. Występnego człowieka nie ozdobi nawet najpiękniejsze ubranie, bo jak mówi przysłowie nasze polskie, stare: Szpetną twarz cnota przyozdobić może, ale niecnocie to i gładkość nie pomoże; a drugie przysłowie tak powiada: Lepsza cnota w błocie, niżli niecnota w złocie. Rodzice powinniście dzieci nauczyć pobożności, szczególnie powinniście ich wychować na prawdziwych czcicieli Maryi. Tu niech wam świeci przykładem Jakób Sobieski, wojewoda bełski, ojciec Jana, późniejszego króla polskiego i Marka, który poległ w walce z pohańcami za wiarę i Ojczyznę. Patrzcie jakto on wychowywał synów swoich na czcicieli Maryi. Wysyłając ich na naukę do Krakowa na Wszechnicę Jagiellońską, to im dał wskazówki, jak się tam mają sprawować; najbardziej polecał i nakazywał im być szczególszymi czcicielami Matki Boskiej.

To samo też polecił nauczycielowi ich Sebastyanowi Orchowskiemu, żeby cześć dla Maryi zaszczepiał w ich sercach. To też chlubi się nasza Ojczyzna nimi, bo byli prawdziwymi synami Jej.

Kochana młodzieży polska! w nabożeństwach twych codziennych staraj się przedewszystkiem o szczególniejsze nabożeństwo do Matki Boskiej. Wpatruj się zawsze w te posągi cudowne, które wyrzeźbił wprost dziecinny stosunek do Matki Najśw., a tymi posągami są twoi rodacy: św. Kazimierz królewicz i św. Stan. Kostka. Przypatrz się, młodzieży, jak to oni ozdabiali swoje dusze cnotami i prosili Maryi, żeby ich miała w opiece i broniła od pokus. To też dzięki opiece Maryi dochowali cnoty czystości, przybrali się majestatycznie w cnoty heroiczne, a po śmierci kościół wyniósł ich na ołtarze. Św. Kazimierz, ten słowik Maryi całe dnie i noce spędzał na uwielbianiu Matki Najśw., wielbiąc Ją przecudnym hymnem, który sam ułożył: „Dnia każdego Boga mego Matkę duszo wysławiaj“; ten hymn śpiewał w każdy dzień razem z drugim hymnem św. Bernarda: „Póki żyję, niech Maryę, co dnia wielbi dusza ma“. Młodzieńcze drogi! który to czytasz, może ty właśnie należysz do liczby tych, którzy szukają szczęścia w brudnych rozkoszach tego świata. Do liczby tych i ja sam należałem, ale nie znalazłem szczęścia i spokoju; teraz dopiero, gdy życie moje poświęciłem na wyłączną służbę Maryi, zawitał błogi spokój do mej duszy; teraz dopiero obfituję w rozkosze i szczęście, jakie pochodzą z wiernego służenia Matce Najśw. Teraz według słów Pisma św. mogę zawołać: a przyszły mi pospołu z nią wszystkie dobra. (Mądr. 7. 11).

O jak szczęśliwy jest ten człowiek, który ma gorące nabożeństwo do Maryi, bo Ona go strzeże lepiej, niż najczulsza matka dzieci swoje, od grzechu broni, a wyprasza mu wzrost w cnotach. Młodzieńcze, zaraz, jak to czytanie skończysz, przyrzeknij i przysięgnij, być wiernym sługą Maryi, przyrzeknij czcić Ją w szczególniejszy sposób całe życie!

F. Seweryn.

List z frontu ruskiego z dnia 20 maja.

List ten jest prywatny, umieszczamy go jednak, bo zawiera wiele cennych rzeczy, mogących wzbudzić zajęcie.

„Jesteśmy ogromnie zmęczeni i wyczerpani, walczymy nieustannie i zwycięsko, przeżywamy ciężkie, ale wspaniałe, pełne tryumfu chwile, wkraczając do zdobytych miasteczek. Dnia 16 maja wkroczyliśmy do Żółkwi i na szczęście nasz batalion był pierwszy, który witała uwolniona z pod hajdamackiego jarzma Żółkiew. Witano nas z entuzyazmem, obsypując powodzią kwiatów, a my, z pieśnią na ustach, wmaszerowaliśmy do starego hetmańskiego grodu. Tej pięknej chwili nie zapomnę do śmierci, serdeczność i zapał starczą nam za trud nasz krwawy.

W Żółkwi zniszczyli uciekający hajdamacy pomniki Sobieskiego i Żółkiewskiego, obrabowali sklepy i rodziny polskie. Zwłaszcza w opłakanym stanie znajdowały się rodziny urzędnicze. Przez

cały czas inwazyi ukraińskiej nie wypłacono im centa pensyi, w dodatku obrabowali ich z tego, co posiadali. Nie oszczędzono też i żydów. Sklepy przedstawiały obraz ruiny, dawał się odczuwać szalony brak wszystkiego, co najpotrzebniejsze. Pudełko zapałek kosztowało pod ukraińcami 5 koron. Uciekając uprowadzili ukraińcy 50 dziewcząt z najlepszych polskich rodzin.

Dnia 19 maja zdobyliśmy Kamionkę Strumiłową o godz. 3 popołudniu po 1-godzinnym koncentrycznym ataku. Oczywiście, że pierwsi w linii bojowej i pierwsi, którzy własną krwią i trudem zdobyli miasto, byliśmy my, Podhalanie. — Pomimo rzęsistego ognia karabinów maszynowych i artyleryi wkroczyła nasza wiara do miasta, wypierając nieprzyjaciela za Bug. Zdobyliśmy całą baterye nieprzyjacielską. Tu pierwszym człowiekiem, jakiego na pustej, ostrzeliwanej ulicy spotkałem, był mój dawny profesor V. Uścisnąłem go serdecznie. Zrabowali go doszczętnie Ukraińcy, w jednem lichem ubraniu pozostał, sprzęty wszystkie mu zepsuto i potłuczono. Takżsamo postępowano ze wszystkiemi rodzinami polskiemi. Niejaką p. M., żonę urzędnika przy Wydziale krajowy, ograbiono ze wszystkiego, nawet jej koszulę zdjęto i obito ją, a męża jej zabrano z sobą. Sklepy żydowskie również ograbione doszczętnie. — W Chyrowcu we wsi polskiej zabrano wszystko bydło Polakom. Obraz zniszczenia, grabieży i nędzy zostawiają wszędzie po sobie hajdamacy.

J. C. porucznik 2 p. strzelców podhal.".

Z Żywieckiego.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Nikt nie pisze do gazetki z pow. Żywieckiego. Myślałby ktoś, że my wszyscy górale w Żywieckiem jesteśmy czerwoni i nie chcemy katolickiej gazety, jaką jest „Polski Siew". Otóż to jest nieprawda. Jesteśmy katolikami i żądamy Polski, stojącej na gruncie katolickim. To zaś, że wybrano z nas dwóch posłów socyalistycznych, to nie socyalizmowi, lecz ciemnocie ludu i nieznajomości programów politycznych przypisać trzeba. Ludność po wyborach poznała swój błąd i żałuje tego. Dochodzą nas takie wieści, że i między nauczycielstwem są niektórzy socyalistami i chcą szkoły bezwyznaniowej! O niedoczekanie wasze, panowie bolszewicy, polski chłop nie da religii i krzyża ze szkoły wyrzucić, bo on nie chce na bolszewików wyprowadzić swych dzieci, lecz na porządnych ludzi. Wszystkich pozdrawiam, zachęcając do czytania katolickich gazet.

Edward Zajączek.

Listy Czytelników.

Ślemień w czerwcu.

Skarżą się ludzie na Boga, że już modłów nie wysłuchuje teraz tak, jak dawniej. Trudzi się ktoś nad tem, by zgadnąć w czem leży przyczyna. — Otóż chciałem to w kilku słowach objaśnić. — Opuszcza nas Bóg, spadają na nas nieszczęścia, bo gorzej żyjemy od zwierząt i niegodni jesteśmy nawet nazywać się chrześcijanami. Bo czy też wypełniamy przykazanie Boże? Czwarte np. przykazanie brzmi: „Czcij ojca i matkę twoją". W naszej wiosce wcale nie widać, aby go wypełniono. Wiadomo wszystkim, że bieda tego roku z żywnością, lecz gdzie się żywią cztery osoby, to sądzę, że i piąta z głodu nie zginie. Jest u nas zwyczaj, że rodzice żeniąc syna na gospodarkę, zapisują mu ją z warunkiem, że ma ich żywić do śmierci. Otóż jest w naszej wiosce aż pięć przykładów, że młoda para wypędziła ojca staruszka lub matkę z powodu niesnasek domowych lub podobno z braku żywności. Przechodząc przez wieś, spotkałem znajomego mi osiemdziesięcioletniego staruszka. Gdy zapytałem, gdzie idzie, odpowiedział mi „a idę ka służyć lub żebrać, bo mnie syn wypędził z domu, że niema miejsca i niema co jeść". Przypomniał mi się zaraz wypadek, jaki się stał niedawno w Niemczech. Biedna wdowa nie mając już co dzieciom dać jeść, rzekła, że jutro pójdzie żebrać. — Wtedy mała córka wzięła lalkę i poszła do sklepikarza, z prośbą, by jej dał co za nią. Gdy kupiec jej zarzucał, że pewnie potrzebuje na cukierki, wtedy ona z płaczem odpowiedziała, że na chleb dla matki. — Porównajmy te dwa przykłady, co zrobił dorosły syn, a co mała dziewczynka. Więc my narzekamy na Boga, że nas opuszcza, że nie dobry?! Jakże my jego przykazania wypełniamy? Jakież błogosławieństwo będziesz miał człowieku, że tego co ci dał życie, co cię wychował i dał ci chatę i grunt, na stare lata wyrzucasz z domu? Nie można jednak zarzucić wszystkim tej nieuczciwości, bo są też tacy, co tego staruszka, mimo, że jeszcze własny syn żyje, biorą, przytulają i proszą Boga, by takie plony dał, by i dla niego starczyło. Tam też z pewnością błogosławieństwo Boże będzie.

Ślemienianin.

Książka i jej wartość.

IV.

Francuski poeta A. Rette, który przez długi czas zwalczał katolicyzm słowem i piórem, po swojem nawróceniu napisał śliczną książeczkę, p. t. „Z przepaści ku wyżynom" i w niej umieścił słowa: „Prawdo katolicka, czemuż cię tak późno poznałem! Gdybym cię był znał wcześniej, nie

byłbym twoim wrogiem!“ To samo i o naszych niedowiarkach trzeba powiedzieć: występują przeciw religii katolickiej, dlatego, że jej nie znają. A nie tylko oni grzeszą ignorancyą wiary — powiedzmy wprost: całe nasze polskie społeczeństwo nie ma należytego wykształcenia religijnego. Dziecko skończy tę szkołę ludową, w której uczyło się katechizmu, biblii, obrzędów Kościoła katolickiego i potem idzie do terminu, do służby, fabryki; zostaje do pracy w domu, na roli, dzień w dzień zajęte obowiązkami, a w niedzielę chce się zabawić, rozerwać po tygodniowych trudach; ani chwilki nie przeznaczy na odświeżenie wiadomości religijnych, jakie mu dała szkoła; tak zapomina je człowiek w kilku latach i ostatecznie później w życiu pokazuje się, że w rzeczach religijnych jest ciemny, jak tabaka w rogu. To prości ludzie, sfery niewykształcone.

A nasza inteligencya? Jest wielu wśród niej, co mają głębokie wykształcenie religijne, — rozumieją w co wierzą i dlaczego wierzą, — i ci zawdzięczają to nie czemu innemu tylko książce. Ale większość inteligentnych ludzi pojęcia niema o wierze nieraz. Zdarzyło mi się raz, że — jako katecheta — miałem pytać religii młodzieńca, który składał prywatnie maturę ze szkoły średniej. Zadaję pytanie jedno i drugie z materyału, który się w szkole bierze, chłopiec kompletnie nic mi nie odpowiada, tylko kręci, blaguje, nadrabia gadaniem; idę dalej, zadaję łatwiejsze pytanie, — odpowiedzi słabe; wreszcie — każę mu wymienić 10 przykazań Boskich, — nie umie; myślę, może sobie pomylił, więc pomagam, podpowiadam; pokazało się, że zupełnie 10 przykazań nie umiał. A czy myślicie, że to jakiś nadzwyczajny wypadek? Nie — podobnych ignorantów więcej! Przypominam sobie, jak raz wezwano mię do domu inteligentnego, bym chore dziecko ochrzcił. Ojciec, który przybył po mnie, po drodze przyznał mi się, że dziecko już umarło i że on je herbatką po śmierci ochrzcił. Biedny ojciec, takie miał o chrzcie wiadomości! Są ignoranci nawet wśród tych, co książki piszą. Jeden tylko dam przykład. Powieściopisarz, St. Żeromski, napisał niemoralną książkę p. t. „Dzieje grzechu“; otóż jeden z jej bohaterów, Łukasz Niepołomski, człowiek żonaty, porzuca żonę dla pewnej panienki; potem chce ślub wziąć z nią! Cóż — kiedy on żonaty! Więc nie można? Nie! Pan Żeromski powiada, że można! Jak to? Oto Niepołomski jedzie do Rzymu, tam otrzymuje rozwód! Niestety tak jest tylko w powieści, bo w rzeczywistości inaczej; już 20 wieków istnieje katolicyzm, ale nie było wypadku, by ktoś, kto prawnie zawarł małżeństwo, mógł się z żoną rozwieść, a inną kobietę poślubić.

Znudziłbym czytelników, gdybym chciał przytaczać wszystkie dowody braku wykształcenia, jakie sam zebrałem w swem życiu. Powiem poprostu: o rzeczach religijnych wprost mówić nie można z ludźmi, tak się na nich nie znają. A raczej — źle powiedziałem! Znają się na nich, ale tą znajomość zawdzięczają książce i pismom, które się wrogo odnoszą do religii katolickiej. Są n. p. robotnicy niektórzy (niechże się wszyscy za to oskarżenie nie obrażają), którzy bardzo dużo wiedzą o religii, ale wiedzą o niej tylko od jej nieprzyjaciół, n. p. z broszurek dawnej „Latarni“, z wydawnictw partyi socyalistycznych, z pism, które zwalczają katolicyzm, lub wreszcie — co jest najczęstsze — od mowców żydów. Takie wykształcenie religijne nasunęło im tylko mnóstwo zarzutów przeciw katolicyzmowi, — zniszczyło w ich sercach przywiązanie do niego, a napoiło nienawiścią. To też ciekawy widok oni nieraz przedstawiają: opanowani nienawiścią do religii swoich ojców i dzieci szydzą, drwią sobie z nich bezwstydnie, pienią się od złości, gdy o tem mówią, — gotowi i pięści użyć, gdy argumenty słowne nie pomagają, — zawsze źli, smutni, niosą w sercu i na wargach bluźnierstwo Bogu, Kościołowi! Im to przedewszystkiem, tym biednym, których zła książka obałamuciła, trzeba dobrej książki. Jakże kto może powiedzieć, że zna religię katolicką, jeśli czytał tylko to, co o niej jej wrogowie napisali, — a nie przeczytał nic z tego, co jej wyznawcy, obrońcy o niej mówią i co na zarzuty odpowiadają. Sądzę, że gdyby tylko bez uprzedzeń, wzięli się do czytania naszych katolickich książek, toby się przekonali, że nie było powodu do walki, toby religię katolicką pokochali i nawet drugich pouczali. Bo ta religia, której początek dał Chrystus Pan, ma w sobie tyle piękności, taka jest wzniosła, że żadna z nią w porównanie iść nie może. Są inne religie, które początek swój od Chrystusa Pana wywodzą, a przecież nie mogą tego udowodnić; a uczeni, którzy to chcieli zrobić, gdy się wzięli do badania dawnego chrześcijaństwa, by udowodnić, że nie katolicyzm, ale protestantyzm, lub anglikanizm jest prawdziwą religią Chrystusa Pana, zmieniali swoje przekonania i stawali się katolikami. Dam przykład. W połowie ubiegłego wieku żył w Anglii wybitny profesor uniwersytetu w Oksfordzie, Newmann. Głęboko religijny, nie poprzestawał jednak na przyswojeniu sobie pewnych artykułów wiary, chciał wiedzieć, dlaczego wierzy i komu wierzy. Tak zastanawiając się nad swoją religią, anglikańską, począł wątpić, czy ona jest religią Chrystusa Pana. Wziął się tedy do badania pierwszych wieków chrześcijaństwa: chciał iść historyą od Chrystusa Pana aż do swoich czasów i osobiście przekonać się, która z istniejących religii jest naprawdę chrześcijańską. Bał się jednak katolicyzmu, zwalczał go słowem na wykładach i pismem; modlił się do Boga, by nie został ka-

tolikiem. Cóż się jednak stało. W ciągu tych studyów, które trwały prawie 10 lat, dowiadywał się o takich rzeczach, które Anglikanie ukrywali starannie, otwierały się mu oczy na prawdę, zajaśniał w swem Boskiem pięknie Kościół katolicki, ukazały się plamy w wyznaniu, które dotąd jego wyznaniem było i kiedy studya ukończył, był katolikiem w duszy, z przekonania, — stało się to, czego się obawiał. Taka jest siła przyciągania katolicyzmu; kto się do niego zbliży z prostotą, bez uprzedzeń, w chęci poznania prawdy, czuje się pociągniętym do niego, — z ignoranta staje się wielbiciel, — z wroga obrońcą. Takie nie wojenne podboje dusz ludzkich umożliwia i sprawia książka religijna. Czytajcie ją! J. P.

Wiara.

Kiedy w życia rwący prąd
Ciernie wtłacza czasu dłoń
I rozsiewa złudny błąd,
Ducha wciąga w kłamstwa toń,

I rozdźwięku rzuci kość
W pośród ludzi bratni tłum,
A niezgoda z piekła gość,
W każde wejdzie serce, dom.

Wiaro święta, z nieba zstąp,
Rozprosz zgubnych marzeń rój,
Jak z wichrami walczy dąb,
Z błędem roztocz walny bój.

Nowe życie błysło nam
Nowe czasy. Boski cud!
Wiaro! wytęp stary kłam,
Wiaro! roztop serca lód!

Wskaż nam Boga, wskaż nam raj;
Błyśnij światłem w zwątpień noc!
Pobłogosław cały kraj.
W sercach zaszczep Krzyża moc

X. Karol Antoniewicz.

Tam noga twoja nie powinna nigdy stanąć.

Na kilka jeszcze lat przed wojną byli u nas ludzie naiwni, co wierzyli, iż żyd może stać się Polakiem. Były nawet całe stronnictwa, co dla polityki kokietowały żydów i szły z nimi ręka w rękę, a gdy kto miał odwagę zawołać, że żyd niema nic wspólnego z polskością i że go trzeba zwalczać, to zaraz obwoływano takiego śmiałka chuliganem. Dziś chyba głupi półgłówek wierzyć może jeszcze w tzw. asymilacyę żydów, czyli w spolszczenie się żydów.

Tylko nieliczne wyjątki dają się spolszczyć, może jeden na tysiąc, może nawet jeden na dziesięć tysięcy. Ale też te wyjątki zaraz napotykają się z prześladowaniem ze strony żydów i zwykle kończy się na tem, że taki wyjątkowy spolszczony semita przechodzi na katolicyzm, bo czuje, że żydem i Polakiem zarazem być nie może. Żyd i Polak to tak, jak ogień i woda. Niedawno żyd Unszlicht, szczerze jednak po polsku czujący, wydał książkę, w której wykazał podłą i niegodziwą rękę żydów w czasie rewolucyi, jaka wybuchła w Królestwie po klęskach Rosyi z Japonią. Wykazał tam na listach i innych zupełnie pewnych dowodach, że socyalistom-żydom nie chodziło wtenczas o dobro robotnika polskiego, o dobro ludu. Chodziło im poprostu o zniszczenie ludu polskiego, o wtrącenie go w paszczę rosyjskich armat. W dodatku rewolucyą tą kierowali socyaliści-żydzi nie z Warszawy i nie z jakiego innego miasta w Polsce, ale z Berlina. Książka ta p. t. „Pognomy ludu polskiego" narobiła między żydami dużo wrzawy. Rzucali się oni na Unszlichta, prześladowali go. Dodajemy tutaj, że Unszlicht był wtenczas sam socyalistą, ale szlachetnym. Kiedy bowiem zobaczył, że żydem i Polakiem być nie może, przeszedł na katolicyzm, a dzisiaj, jak to sam publicznie nie wstydził się w pismach ogłosić, jest katolikiem praktykującym, szczerze wierzącym. Oto kolej, jaką przejść musi żyd, jeśli chce zostać Polakiem. Innej drogi niema.

Przekonaliśmy się o tem dzisiaj niezawodnie. Największym wrogiem imienia polskiego jest żyd, tak żyd chałaciarz, jak żyd inteligentny, tak żyd chasyd, jak żyd tzw. niemiecki. Znam jedno miasteczko, w którem do niedawna żyd lekarz, człowiek wykształcony, żył za pan brat z urzędnikami, sędziami, adwokatami i wogóle z tamtejszą inteligencyą polską. Spotykał się z nimi w kasynie, odwiedzał ich, bywał nawet zapraszany na przyjęcia. Sądziłby każdy, że taki żyd powinien zrzucić ze siebie pokost żydowski i przejąć się duchem polskim. Niektórzy też wierzyli, iż tak jest. A dzisiaj? Dzisiaj słyszę, że wszyscy plują na niego poza oczy, bo żyd ten, miejski lekarz, jest jawnym bolszewikiem, cieszy się z powodzeń oręża bolszewickiego, wychwala gdzie może Trockiego, pomijając równocześnie wszystko, co zrobią Polacy. W dodatku w swojem rodzinnem kole, w domu zawsze rozmawia po niemiecku. Oś, dowód jeden z tysiąca, że żyd zawsze żydem zostanie. W Krakowie np. żydzi na Kazimierzu cieszyli się na myśl, że pruscy zajmą Kraków, gdyby przyszło do wojny Polski z Prusami. I tak wszędzie

i zawsze spotykamy ten sam objaw: żyd znienawidził polskość, żyd szkodzi polskości, żyd jest przednią strażą niemczyzny u nas. Powinniśmy umieć walczyć z żydem. Pogromami, mordami i rabunkami nic a nic nie zrobimy. W dodatku nam tego robić nie wolno, bo to niemoralne, bo to grzech. Zamiast dokonywać tu i ówdzie rabunku, czy nie lepiej byłoby, gdyby nasze władze zorganizowały silną policyę, poddały ścisłej rewizyi magazyny żydowskie, zabrały żydom ich składy bogate żywnościowe i potem rozsprzedawały pomiędzy ludnością chrześcijańską po maksymalnych cenach? Tak trzeba było robić, a nie grabić i bić.

Powinniśmy umieć walczyć z żydem. Zakładajmy chrześcijańskie sklepy, kółka i spółki, stwarzajmy składnice żywnościowe, chodźmy do sklepów tylko polskich, nie żydowskich. Zasada nasza winna być: nigdy do żyda nie wstąpię! Ale na miłość Boską nasi katoliccy sklepikarze powinni pamiętać, że wtedy jeno żydów zwalczą, jeśli będą sprzedawać u siebie przynajmniej tak tanio, jak żydzi. Jedynie tylko co do taniości mogą z żydami współzawodnictwo wytrzymać. Inaczej nic zrobimy nic. Nie chciejmy się odrazu na towarze wzbogacić, nie chciejmy odrazu dużo zyskać.

Katolik nie powinien nawet wchodzić do domu żydowskiego. A czy my tak czynimy? Dokądże nasze katolickie służące będą wymiatać kąty żydowskie? Dokądże będą żydowskim dzieciom służyć za mamki? Czy to nie wstyd, że chrześcijanka za parę centów idzie do żyda w sobotę podpalać w piecu, bo ten chałaciarz chce świętować? W jednej mieścinie odbył się pogrom żydów. Pobito im szyby, wykradziono towar ze sklepów. — Dwa dni coś potem był targ w tem mieście. Jakaś kobiecina przyszła ze wsi z mlekiem, masłem i jajami, aby to sprzedać. Poszła z tem odrazu do sklepu żydowskiego. Żydówka wsiadła na nią z krzykiem, że teraz przychodzi i chce zarobku, chce pieniędzy, zaś przed dwoma dniami rabowała u niej i kradła. Kobieta z płaczem odeszła i skarżyła się, że ją taka niegodziwość spotkała. Dowiedziałem się o tem i nie mogłem przyjść do siebie z oburzenia. Jakto? to ty, kobieto, zaraz po pogromie znowu idziesz do żyda i łasisz mu się, jak ten pies, co zawsze musi lizać nogę pana swego? Tyś mogła coś podobnego zrobić! Nie żydówka zrobiła niegodziwie, ale ty! pocoś tam poszła? — Tam noga twoja nie powinna nigdy stanąć.

(s).

Czy zapisałeś się już do „Towarzystwa popierania prasy i wydawnictw katolickich"? Możesz to uczynić, przesyłając wkładkę roczną 2 korony pod adresem biura „Tow. pop. prasy katol.", Kraków, plac Maryacki l. 2.

Św. Magdalena.

Obchodzimy jej święto w lipcu, dnia 22, więc wypada nieco o niej wspomnieć. Wielka to była naprzód grzesznica. Urodą obdarzył ją Bóg, ale ona tę urodę obróciła na grzechy cielsne. Rozpustne jej życie stało się publiczną w mieście tajemnicą. Mio upadków jednak, mimo ogromnego zepsucia, mimo tego, że jek się Ewangelia wyraża, iż mieszkało w niej siedm złych duchów, mimo tego wszystkiego serce jej nie było z gruntu złe. Musiało w jej sercu być coś dobrego, kiedy wejrzał na nią Pan.

Pochwycono ją bowiem na cudzołóztwie i wprost jako winną, przywiedziono do Chrystusa, który pdówczas był w Jeruzalem. Faryzeusze zaraz, chcąc wyzyskać te chwile dla siebie, zbliżyli się do Zbawiciela i spytali, jak On ją ukarz za ten grzech? Mojżesz bowiem kazał takie kamieniować. Naokoło znajdował się liczny tłum i coraz więcej tego tłumu zaczęło napływać. Pan Jezus zaś nic się nie odzywał, pisał tylko jakieś znaki na piasku. Faryzeusze zniecierpliwieni nalegali na Jezusa coraz silniej, domagając się odpowiedzi i sądu. Wtenczas Chrystus przestał kreślić po piasku, spojrzał na nich wszystkich, wpatrzył się przenikliwi w ich oczy, wpatrzył się w ich sumienie i odpowiedział z majestatem: „Kto z was jest bez winy, nich pierwszy na nią rzuci kamień". I znowu zaczął rysować po piasku.

Słowa jego natychmiast zrobiły skutek. Faryzeusze bowiem zaczęli powoli jeden po drugim uchodzić, aż wreszcie wszyscy znikli. Bali się zostać, bali się, by przypadkiem Jezus nie odkrył ich tajemnicy. Nareszcie, kiedy wszyscy już odeszli, kiedy nie było w nich nikogo w pobliżu, a naokoło stał jeno liczny tłum, zwrócił Chrystus oczy swe na Magdalenę, która klęczała na ziemi zawstydzona, nie mając odwagi nawet oczu podnieść w górę. Czekała wyroku. Spojrzał na nią Chrystus i powiedział: „Cóż? nikt cię nie potępił?". „Nikt, Panie" — odpowiedziała grzesznica. „I ja ciebie nie potępię" — odrzekł Chrystus. Przebaczył jej wszystko, darował ciężkie, cielesne winy. Ale, żeby ktoś nie myślał, iż przez to chce usprawiedliwić grzechy nieczyste, dodał te ważne i wielkie słowa: „Idź w pokoju, ale nie grzesz więcej!". — Oto głos miłosiernego Jezusa. Wszystko przebaczy, wszystko daruje grzesznikowi, byle jeno ten się poprawił. Ach, jakie to pocieszające dla nas, ach, jakże za to kochać winniśmy tego dobrego Boga Jezusa, tego Boga miłości i Boga miłosierdzia.

SKŁADKI.

Na fundusz prasowy „Siewu Polskiego": Marya Skowrońska z Bachowic 2 korony.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST SAPIŃSKI.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.